ROK DRUGI.

№ 22.

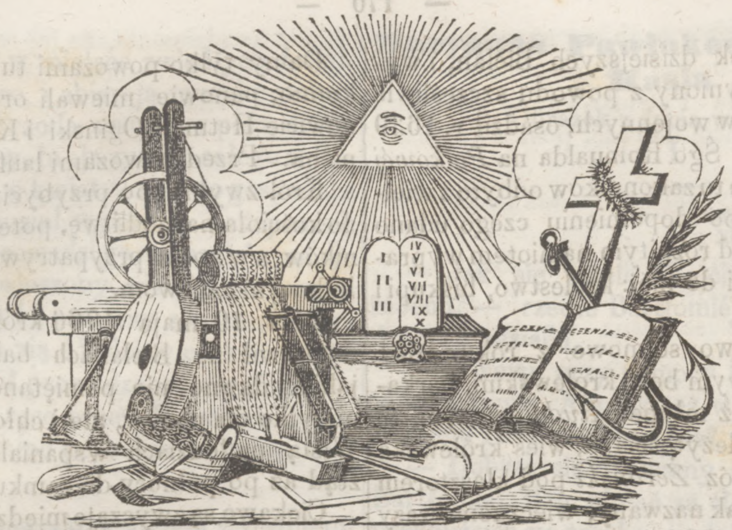
Warszawa
Dnia 19 (31) maja

1857.

Niedziela

ZESŁANIA

DUCHA Śgo.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Ci, co przez pogardę światowości i umartwienie ciała garną się do Boga, prawdziwie okazują się mądrymi, bo od próżności do prawdy, od ciała do ducha przechodzą. (O naśl. Chr. K. 3. R. 34.)

Przyjdź Duchu Święty!

Panie serc wiernych, przybądź Duchu Święty!
W Tobie Boskiego zmiłowania dary;
Przybądź cudowny, wielki, niepojęty,
Wléj miłość w serca, roznieć światło wiary.

Krewkości nasze trzymaj w twojéj mocy,
Chroń nas od złego, obdarzaj pokojem;
Bądź dla nas gwiazdą wśród zwątpienia nocy,
Bądź nam pociechy i nadziei zdrojem.

Spraw, by śmiertelni przez twoje natchnienie
Pojęli Boga wielkość nieskończoną;
Niech przez cudowne Twoje namaszczenie
Serca wierzących świętym ogniem płoną.

Kto w Ciebie ufa, tego nic nie trwoży;
Ty nam bądź tarczą przeciwko grzechowi,
Niech będzie chwała Ojcu i Synowi,
Niech będzie chwała Tobie Duchu Boży!

Bielany.

Któż z nas nie zna zwyczaju odwiedzania Bielan w drugi dzień Zielonych Świątek?

Święcimy go sami, słyszymy od ojców i matek, że to samo robili przodkowie nasi, a dawno, bardzo dawno; i gdy wiosna w całym przepychu rozwinie swe zielone stroje, spieszymy do pięknego Bielańskiego lasku, gdzie nas wabią i tłumy słowików, i wdzięczne leśne kwiecie, i pamiątka ojczystego zwyczaju — spieszymy tam, aby odetchnąć pierwszém wiosny tchnieniem, podumać, powzdychać po troskach i cierniach życia, i pomodlić się w ustronnéj klasztornéj świątyni. Bo komuż z nas modlitwa nie jest potrzebną?—któż z nas w życiu nie doznał goryczy, lub nie dotknął szczęścia, ażeby za nie i o nie nie miał pobudki powzdychać, popłakać i w cichéj modlitwie zapukać do Nieba?

A więc idziemy wszyscy chętnie na Bielany; a kiedy i ten klasztor, i ten miły zwyczaj powstał, posłuchajcie, to wam opowiem.

— Władysław IV król polski, syn Zygmunta III, którego kolumna przed Zamkiem stoi, ulu-

bił sobie miły lasek dzisiejszych Bielan, i wypełniając ślub uczyniony z powodu szczęśliwie ukończonych wypraw wojennych, osadził r. 1639 pustelników Reguły Śgo Romualda na *Polkowéj Górze*. Umieszczenie tu zakonników odbyto z wielką uroczystością, po dopełnieniu czego udano się na dół, gdzie pod rozbitym namiotem wyprawiono ucztę; zasiedli do niéj: królestwo, biskupi i senatorowie.

Zaraz przez prawo sejmowe z roku 1641 wszystek grunt w owym boru królewskim, parkanami odgraniczony, z młynem *Ruda* zwanym, ze wszystkiemi przynależytościami, wieś królewską *Polków*, oraz przewóz *Żeroński* pod klasztorem od wsi tego imienia tak nazwany, wiecznemi czasy zakonowi oddano.

Król lubiący to piękne miejsce sam wybudować tu polecił swój domek, a za przykładem monarchy, możniejsi zaraz wystawili tu ze 20 domków.

Następca Władysława, brat jego Jan Kazimierz król dokończył budowy klasztoru r. 1667, a król Michał Korybut Wiśniowiecki, który po Janie Kazimierzu na tron polski wybranym został, upodobał sobie również to ustronie, i po śmierci serce swe tu złożyć polecił. Był zapewnie na Bielanach i zwierzyniec, gdyż król August II sławny myśliwy często letnią porą zjeżdżał tu na łowy.

Początek odwiedzania Bielan ztąd poszedł, iż dawniejszym zwyczajem w poniedziałek Świąt Zielonych, przepływano Wisłę na drugą stronę do wsi Golędzinowa, gdzie wyprawiano wesele jednéj z cnotliwych córek mieszkańców Starego miasta, losem na to wybranéj. Przebywano rzekę na promach, których maszty w gałęzie brzeziny owijane, różnobarwnemi wstążkami upiększano. Wójt staromiejski po ukończonéj zabawie zbierał posag dla nowozamężnéj, ktory niekiedy nawet znaczny bywał.

Za czasów Jana Kazimierza króla, z powodu obecności za Wisłą Szwedów, nieprzyjaciół kraju, Warszawianie w drugi dzień Zielonych Świątek już nie płynęli do Golędzinowa, lecz dawny zwyczaj w lasku Bielańskim obchodzili.

I od tego to zapewne czasu Bielany w dniu rzeczonym odwiedzać zaczęto.

Królowie polscy zawsze się na Bielanach w Zielone Świątki znajdowali; bywali tu August II i August III królowie, nie zaniedbywał tego zwyczaju i król Stanisław August.

Damy tylko powozami tu jeździły, mężczyzni konno; panowie miewali orszaki okazałe, mianowicie Hetman Ogiński i Kazimierz książę Sapieha. Przed powozami laufrzy biegali.

Król zwykle po przybyciu wchodził naprzód do kościoła na modlitwę, potem odwiedzał zakonników, a w końcu przypatrywał się w lesie różnym ludowym zabawom.

Dnia 19 maja 1766 król Stanisław August wyprawił na Bielanach bal tak wspaniały, o jakim dawno nie pamiętano. Była tu zabawa nietylko dla panów, ale i chłopów—król przybył Wisłą na łodziach wspaniale ubranych; wrócił ztąd aż po północy do zamku.

Ciekawe są zwyczaje między ludem w tym dniu w różnych stronach obchodzone. I tak:

Król pasterzy.

Jest zwyczaj w Kujawach, dawnych sięgający czasów, że kto w pierwszy dzień Zielonych Świątek wypędzi rano pierwszy bydło na miejsce oznaczone, jeżeli pasterz, zostaje królem, jeżeli zaś pasterka, otrzymuje godność królowéj. Kto zaś przybędzie ostatni, sam paszeniem i pilnowaniem bydła zajmować się przez dni 3 musi, gdy tymczasem inna młodzież wesoło się bawi.

Jeżeli zaś dwóch pasterzy, lub dwie pasterki jednocześnie się spotkają najpierwsi, wtedy los stanowi o ich godności królewskiéj. Wytykają metę, u celu któréj staje król lub królowa zeszłoroczna z wieńcem w ręku, i ten wprzód przybyłemu daje; świadkami są wszyscy obecni. Obranemu królestwu wszyscy znoszą podarki, królowi kwiaty i pióra, królowéj wstążki i pierścienie. Król odstępuje kwiatów dziewoi z nim panować mającéj; inne dziewczęta kwiaty te porywają, robią z nich dla siebie i chłopiąt wieńce, ubierają w nie krzyż najbliższy, przy którym zwykle się wtedy zbierają.

Król mianuje dwór, marszałka i kucharza, a do pomocy dodaje im służbę.

Poczem zasiadają wszyscy w cieniu, bawią się powiastkami, śpiewkami i żartami. Gdy się południe zbliża, kucharz, na przygotowany obiad na murawie pokrytéj białym obrusem, zaprasza godujących za pomocą *bazony*, (rodzaj trąby czy fujary.) Na pierwszem miejscu siada król z królową, obok urzędnicy dworu, potem inni z parami, jakie sobie obiorą, a nakoniec ten, kto dnia owego późniéj z bydłem w pole przybył. Przy uczcie wolno tylko pić mleko i wodę.

A gdy nadszedł wieczór, ubierają się wszyscy

w szaty świąteczne, w miejsce zwiędłych dotąd, nowe układają wieńce, i zbierają muzykę polną, na jaką ich stanie. Trzoda zostaje w polu, tylko najokazalszego z niej wołu obszywają całego wpłótno, a rogi ubierają w kwiaty, aby go gospodarz nie mógł poznać i musiał wykupić. Zaczyna się *pochód uroczysty*, prowadzi go marszałek; ma ręcznik przez ramię zwieszony, pistolet za pasem, bicz w ręku—za nim 12 pasterzy z biczami, pierwsza śpiewaczka, za nią 12 dziewic z koszykami kwiatów, potem wół prowadzony, za nim królowa trzymana pod ręce przez 2 pasterki, a w końcu sam król, mając po bokach dwóch najstarszych pasterzy.

Dochodząc wsi, marszałek strzela z pistoletu, inni palą z biczów, dziewczęta rozrzucają kwiaty pod stopy królowéj. Tak stają przed sołtysem, gdzie się zbiega wieś cała z podarkami, nareszcie właściciel poznaje i wykupuje swego wołu; poczem ze skrzypkami i basetlistą idą do gospody, i bawią się ochoczo. Leniwy pastuch tymczasem trzody w polu pilnować musi.

W Podlaskiem znowu, koło Siedlec mianowicie jest dawny obyczaj, iż w drugi dzień Świąt Zielonych gromada chłopców pędzi wołu, na którym wis przywiązany bałwan, wypchany słomą w siermiędze, czapce i bótach; wół ucieka, a wszyscy wołają: *Roduś*, *Roduś*.

Na Szląsku dzisiejszym, który dawniéj do Polski należał, we wsi *Lastkowice* o 1 i pół mili od miasta Wrocławia, i innych wsiach polskich jest zwyczaj, iż ze świtem 1 dnia Zielonych Świątek parobcy konno wybierają się na gonitwy. Zaczynają je od jeziora *Próchnik*, a metę stanowi drąg na górze wbity; kto pierwszy u niej stanie, zostaje *królem*, kto ostatni *Rochwistem*.

Wracająca do domów młodzież ma na czele króla; *Rochwist* służy im za błazna. Wiozą go na ustrojonym wózku o dwóch kołach, wstępują do każdéj gospody we wsi, prosząc o podarki na wieczorną ucztę. *Rochwist* winien różne figle stroić, aby rozśmieszał króla i towarzyszów. Zwyczaj ten jest polskim, lubo go niektórzy z Niemiec wywodzą. Kiedy powstał?—niewiadomo—zaczyna on ustawać teraz w polskich wsiach na Szląsku.

Maryanna Pawlukowa i jéj córka Kasia.

Obrazek z życia wiejskiego.

I.

„Gdzie zgody, miłości niema,
Nie pytaj o szczęście doma.“

— Jak się macie Wojciechu?— zdrowiście mocno?— rzecze Bartłomiéj do mimo przechodzącego sąsiada.

— Zdrowi przy pomocy Pana Boga. Dziękuję za witanie. Ale jak też wy się miewacie Bartłomieju i kobiecisko wasze?

— Dobrze się miewamy oboje, odpowiedział Bartłomiej, Bóg zapłać za słowo dobre. No, ale przybliżcież się trochę, siadajcie na ławie i odpocznijcie po pracy.

— Dobrze — odpowiedział Wojciech, i spoczęli obadwa.

Chata, przed którą spoczęli nasi dwaj wieśniacy, stała cokolwiek oddalona od wsi, na prześlicznéj równinie, otoczonéj z jednéj strony lasem, a z drugiéj zabudowaniami mieszkańców. Na kilkadziesiąt od niéj kroków widziałeś parafialny kościół, a za tym cmentarz grzebalny.

Słońce już się skryło za lasy; tylko złote jego promienie oświecały jeszcze dalekie wzgórza i blaszany krzyż kościoła.

Cicho było dokoła—lekki tylko wiaterek kiedyniekiedy zaszeleścił liściami.

— Ale cyt... przerwał Wojciech, czy słyszycie wy co Bartłomieju?

— A słyszę... ale ktoto tam tak na cmentarzu zawodzi?

— Mnie się zdaje, że to Zośka Józefowa po ojcu...

— Ej, nie, to Maryanna Pawlukowa po mężu, rzecze Bartłomiéj, wpatrując się ciekawie ku stronie cmentarza.

— No, to chodźmy tam i zobaczmy.

— A to chodźmy, odpowiedział Bartłomiéj. I poszli ku cmentarzowi.

Nad grobem klęczała młoda jeszcze kobieta, która niepohamowanemu oddając się żalowi, kiedyniekiedy głośne wydawała łkania.

Obok niéj leżała wiązka siana, a na niéj siedziało 3-letnie dziecię, które płacząc, wyciągało ręce ku matce i nagliło ją, aby szła do domu.

— A widzicie, że to Maryanna Pawlukowa, poszepnął Bartłomiéj; a przybliżywszy się, z ojcowską dobrocią tłumaczył jéj, że żal

po śmierci drogich nam osób nie przeciwi się religii, ale zbyteczna boleść i Boga obraża i zdrowiu szkodzi. Wstała Pawlukowa, a wziąwszy siano na plecy i dziecię na ręce, poszła ku domowi w milczeniu.

Nasi dwaj rolnicy powrócili także na swoje miejsca.

—Oj, mój Ty mocny Boże! rzecze Bartłomiéj; płacze teraz Pawlukowa po mężu, bo jéj bieda dokucza, a sama nieszczęsna wpędziła go do grobu... Bo pamiętacie, jakieto ich było w małżeństwie pożycie?— ani jedności, ani zgody, ani najmniejszéj między nimi nie było miłości. Dzieci, co nie miały dobrego od rodziców przykładu, na złych powyrastały ludzi, i jak Pan Bóg nie miał swojéj chwały z rodziców, tak też i z ich dzieci. Ilużto nieszczęść złe małżeństwa przyczyną, jak tam każda chwila gorzka, a nawet samo życie nudzi.

—Prawdę mówicie, Bartłomieju, odpowiedział Wojciech, że się tam życie człowiekowi znudzi— bo jak z jednéj strony szczęśliwi są małżonkowie, którzy się miłują serdecznie, którzy razem znoszą swoje zgryzoty, jakich tu dosyć na ziemi; tak z drugiej strony niema nic okropniejszego dla człowieka, jak gdy ma złego towarzysza i z tym aż do śmierci żyć musi.... Ale mnie to dziwno, rzecze daléj Wojciech, że i z pierwszą żoną Pawluk z początku niebardzo żył dobrze; jednakże późniéj tak się jakoś zgadzali oboje, że spokojnie i szczęśliwie przeżyli aż do śmierci nieboszki—ale co z drugą, to ani na raz zgodzić się nie mogli?

—Eh, bo co prawda, to i powiedzieć nie grzech, że Pawluk był to człowiek niedobry, złośliwy i do gniewu skłonny. Pamiętam ja, ile się nadokuczał i pierwszéj żonie... ale tamto kobiecisko poczciwe, w bojaźni wychowane Bożéj, tak jakoś sobie potrafiła z nim postępować, że albo cierpliwie znosiła wszystkie wymyślania męża, albo czasem obróciła w żart, choćby jéj co i najgorszego powiedział, a dobrocią swoją i cierpliwością tyle dokazała, że go dużo poprawiła i w końcu pozyskała jego miłość.

— Ależ Bartłomieju! ja nieraz słyszałem, jak ona mu gorzką mówiła prawdę? zagadnął Wojciech.

— O, jużcić i ja to słyszałem —odpowiedział Bartłomiéj, jak ona go łajała, a każde złe jego wytknęła; ale to wtedy tylko, kiedy go widziała wytrzeźwionego, albo udobruchanego, lub kiedy się spodziewała, że jéj upomnienia i rady dobry skutek przyniosą. Ale nie tak z nim postępowała żona druga, nie tak! Kobieta to niecierpliwa, porywcza; ile go tylko razy napitego widziała, albo ile razy jéj zagniewany powiedział co gorzkiego, tyle razy, nie czekając sposobnéj chwili, z krzykiem i hałasem na niego powstała, a jak zaczęła wyzywać, a przeklinać, to jeszcze bardziéj jątrzyła i pobudzała do kłótni.

— Ależ mnie się znowu zdaje Bartłomieju, rzecze Wojciech, że on jéj z początku dosyć ustępował i ulegał jéj niemało.

— To prawda, że jéj z początku, jak się pobrali, ulegał, bo jemu się zdawało, że ona się z czasem tak stanie potulną i cichą, jak była nieboszka; ale kiedy się pokazało inaczéj, to przyzwyczajonemu do przewodzenia żonie pierwszéj, znudziło się długo ulegać drugiej, a jeszcze niedobréj i swarliwéj.

Biedny człowiek i od żony się nacierpiał dosyć i od ludzi dobrego nie usłyszał słowa.

— Prawdę mówicie, że i ludzie mu się nadokuczali niemało; bo ja pamiętam, jak go to niejeden z gromady wytykał, a wyszydzając, mawiał: Dobrze ci tak, dobrze, kiedy nie umiesz pokoju w domu zachować; Pan Bóg cię skarał—bo przypomnij no sobie, ileś się nie nadokuczał pierwszéj żonie? pocierpże teraz od drugiéj trochę, pocierp.

Co jednak jest kumie źle, bo to człowieka jeśli nie poprawisz dobrocią, łagodnością i radą uczciwą, to pewnie z nim nic nie poradzisz złością i naśmiewaniem się z niego.

— Ja mu tam nigdy nic nie powiedziałem przy krego — rzekł Wojciech, a owszem obojgu Pawlukom radziłem, ot tak pochrześciańsku, aby się miłowali, aby sobie przebaczali urazy, a pokój i szczęście do nich powróci. Boćto przecie ludzie nie Anieli; jedni z nich mają takie błędy, drudzy inne—żona swoje, mąż znowu swoje. Jakże więc może być między nimi zgoda, jeżeli jedno drugiemu przebaczać, ani wzajemnych wad cierpliwie znosić nie zechce? Ale to wszystko jakoś było naprożno mówić Pawlukom.

—To też obojgu przyszło na gorzki koniec, odpowiedział Bartłomiéj. Pawluk nie mając nigdy od żony spokoju, znienawidził ją i dom, a zamiast pilnować gospodarki i pracować, włóczył się po kiermaszach, i co mógł, czy bydlę, czy sprzęt gospodarski, przedawał i na gorzałkę obracał. W końcu rozpił się nieszczęśliwy i na-

gle pod płotem bez ŚŚ. Sakramentów i pociechy kapłana zginął...

Maryanna, co zamiast łagodnością i dobrocią zachęcać męża do pracy, do uczciwego życia, przyczyniła mu swoją złośliwością zgryzot, i grób przyspieszyła. Płacze teraz nieszczęsna, bo nędza i głód dokucza, a na życie zarobić niema komu.

— Ha, jużcić to prawda, rzecze Wojciech, że ona sama niemało się przyczyniła do swego nieszczęścia—ale Bartłomieju! i nad złym na tym biednym świecie litość mieć trzeba, bo któż tam wie, czy i nas Pan Bóg za dobrych uważa? Otóż wiecie co, nie dajmy ginąć biednéj kobiecie i nad sierotą litość okażmy. Toćto wiecie pewnie, jaka Pawlukowéj zagraża nędza: gospodarkę nieboszczyk zniszczył, w służbę jéj z dzieckiem i słabowitéj nikt nie przyjmie, a o zarobek choć w lecie łatwiéj, to w zimie za to trudno, a żyć potrzeba. Weźcie wy więc małą Kasię, a ja wezmę wdowę do siebie—ja wdowie, a wy sierocie łzy otrzecie.

— A dobrze Wojciechu, odpowiedział Bartłomiéj, Bog wam zapłać, żeście tacy gotowi, bo to i ja miałem wam to samo mówić. Tak, podajmy pomoc biednéj wdowie i nieszczęśliwéj sierocie, boć to przecie i my na tej ziemi nie wieczni; dziś żyjemy, jutro może w ziemi gnić będziemy, a Bóg to raczy wiedzieć, jak tam i z naszemi żonami i dziećmi po naszéj śmierci będzie?

— Ale, co wam jeszcze miałem powiedzieć?.. Oto możebyśmy jeszcze, co z jéj synem zrobili Antkiem, toćto grzech, że się tak rozpróżniaczyło dziecko.

— Ej, Bartłomieju nie wiem, czy z niego co dobrego będzie. Chłopak młody, a już tak, jak nieboszczyk jego tatuś napić się lubi, swawolić, a do roboty najmniejszéj nie ma ochoty. Wziąłem go już raz do siebie, bo myślałem, że mu nie dam próżnować, i sposobność do zarobku podam; ale gdzie tam!—uciekł drugiego dnia odemnie, a wczoraj słyszałem, że go smagali we dworze za to, iż pachciarce ze zbytków garnki z mlekiem potłukł. Snać ono pójdzie w poniewierkę; bo to nic dobrego nie nauczyło się u rodziców, a na niemało złego patrzyło... Zostawił go dziedzic u siebie, i może postrachem z nim co poradzi, co daj Boże!.. No, ale wdowę, to ja zaraz jutro biorę, a wy jéj dziecko biedną małą Kasię—a teraz bywajcie mi Bartku zdrowi, bo to już i noc się zbliża, a jutro do roboty rano wstać trzeba.

Termometr, czyli Ciepłomierz.

Niejeden z was Czytelnicy, bardzo często słyszy, czyta, a nawet i sam mówi, że jest tyle a tyle stopni ciepła lub zimna, nie wiedząc, ani zkąd się biorą, ani co znaczą owe stopnie; otóż żeby takich pomiędzy wami nie było, w niniejszej gawędce postanowiłem o tem pomówić.

Stopnie ciepła lub zimna poznają się za pomocą narzędzia, zwanego z greckа *termometrem*, a po polsku *ciepłomierzem*. Nim wam opowiem, jak wygląda i jak się robi to narzędzie, poprzednio powiedzieć muszę zasadę, na jakiéj się ono opiera.

Otóż tą zasadą jest następująca własność. Wszystkie ciała, tak stałe, jak ciekłe i lotne, od ciepła powiększają, a od zimna zmniejszają objętość, czyli wielkość swoję. To znaczy, że jeżeli jakie ciało ogrzejemy, to ono stanie się większe, czyli niejako urośnie; i na odwrót, jeśli ciało jakie oziębimy, ono zmniejszy się, czyli zmaleje.

Że ciała stałe, to jest te, co dadzą się wprost samą ręką ująć i nią trzymać, powyższą własność posiadają, łatwo jest przekonać się, zrobiwszy z jakiegokolwiek ciała stałego np. z żelaza, małą kulkę, a z nitki drutu, kółeczko takie, iżby przez nie powyższa kulka zaledwie przesunąć się mogła. Otóż póki kulka jest zimna, póty przez kółeczko przechodzi, ale ile tylko razy ją dosyć mocno ogrzejemy, tyle razy przez kółeczko przecisnąć się nie będzie mogła, dotąd, dopókąd znowu jéj nie oziębimy; co jasno dowodzi, że żelazo od ciepła się powiększa, a zmniejsza od zimna. A że kulkę zrobić można z jakiegokolwiek ciała stałego, a wypadek zawsze będzie jednakowy, więc możemy w ogóle powiedzieć, że wszystkie ciała stałe własność powyżéj przytoczoną posiadają.

Że i o ciałach ciekłych możemy toż samo powiedzieć, przekonywamy się ztąd, iż wszystkie ciecze po ogrzaniu przechodzą w gazy, daleko więcéj miejsca do swego pomieszczenia wymagające; ale nim też ciecze w gazy się zmienią, muszą poprzednio stopniowo rzednieć, czyli powiekszać objętość swoję.

Przy oziębianiu zaś ciała ciekłe zmieniają się w stałe, zatem gęstsze, czyli znowu gęstnieją, t. j. zmniejszają się.

Nakoniec że i ciała lotne własność tę posiadają, łatwo przekonać się; napuściwszy bowiem w zwyczajny pęcherz, jakiego gazu, np. powietrza, a potem pęcherz ściśle związawszy, zobaczymy, że po ogrzaniu pęcherz ten będzie się wydymał,

a po oziębieniu napowrót miękł; zkąd wnieść musimy, że powietrze, a zatem i wszystkie inne gazy, od ciepła powiększają się, a od zimna zmniejszają.

Zatem ponieważ wszystkie w ogóle ciała od ciepła powiększają, a od zimna zmniejszają wielkość, czyli objętość swoję, więc i naodwrót jeżeli jakiekolwiek ciało powiększy wielkość swoję bez innéj widocznéj przyczyny, to wniesiemy, że ono zostało ogrzane; a przeciwnie, ilekolwiek razy ciało zmniejszy objętość swoję, to było oziębione, i im bardziéj się powiększyło lub zmiejszyło, tem bardziéj było ogrzane lub oziębione. Ztąd widzimy, że z rozszerzania się lub skurczania ciał, wnosić możemy o mocy ciepła na nie działającego, albo inaczéj mówiąc, rozszerzaniem i skurczaniem ciał możemy mierzyć moc, czyli natężenie ciepła.

Pojąwszy dobrze to, co wam dotąd powiedziałem, łatwo zrozumiecie i sam ciepłomierz, który jest dłuższą, albo krótszą i stosownéj grubości szklaną rurką, u dołu w kuleczkę wydętą, a u góry szczelnie zalutowaną i wewnątrz merkuryuszem (żywem srebrem) wypełnioną. Cała wreszcie rurka zwierzchu podzieloną jest na równe części, zwane stopniami, przy których znajdują się odpowiednie liczby tak, iż przy jednym z tych stopni, a znajdującym się bliżéj kulki niż zalutowanego końca, napisane jest 0 (*zero*)—od niego zaś kolejne liczby 1. 2. 3. 4 i t. d. idąc w górę do 80, lub 100, a idąc na dół do 30. Najczęściéj zamiast dzielenia saméj rurki na części, dzielą stosownéj długości deseczkę, do któréj dopiero przytwierdzają wyżéj opisaną rurkę.

Stopnie te razem wzięte stanowią tak zwaną *podziałkę* termometru.

Stopnie znajdujące się nad zerem są stopniami ciepła, a będące pod zerem stanowią stopnie zimna.

Jak się poznają i oznaczają stopnie ciepła?

Wiedząc już, że od ciepła wszystkie ciała powiększają, a od zimna zmniejszają wielkość swoję, łatwo zrozumiemy, że gdy zrobi się cieپléj, to merkururyusz w rurce zawarty, będzie powiększał objętość swoję, a zatem będzie się do góry ponad zero podnosił, a przeciwnie na zimno będzie się skurczał, czyli na dół pod zero opadał. Otóż właśnie liczba, przy któréj merkuryusz w rurce stoi, oznacza stopień; jeżeli nad zerem, ciepła, jeżeli pod zerem, zimna. I tak: jeżeli on stoi przy liczbie 15 nad zerem, jest 15 stopni ciepła; gdy zaś stoi przy liczbie 15, lecz pod zerem, jest 15 stopni zimna.

Zamiast pisać: *ciepła*, przed liczbą piszą znaczek (+), a zamiast *zimna* (—). Wreszcie nie pisze się także *stopni*, tylko nad liczbą z prawéj strony umieszcza się maleńkie kółeczko; i tak: jeżeli chcemy napisać, że jest 18 stopni ciepła, piszemy + 18⁰, chcąc zaś wyrazić 17 stopni zimna, piszemy —17⁰; podobnież +24⁰ czytamy: *ciepła* 24 *stopnie*, a —13⁰ znaczy: *zimna* 13 *stopni* i t. d.

Znając już, że tak powiem, po wierzchu ciepłomierz, poznajmy teraz, jak on się robi. Ponieważ narzędzie to składa się ze trzech głównych części, to jest z rurki, merkuryuszu i podziałki, więc o każdéj z nich pokrótce pomówmy. I tak:

Rurka do ciepłomierza użyć się mająca, w całéj swéj długości mieć powinna otworek zupełnie jednakowéj wielkości. Chcąc się o téj własności rurki przekonać, wpuszczamy w nią kroplę merkuryuszu lub wody i posuwając ją (kroplę) coraz daléj ku końcowi rurki, mierzymy cyrklem długość; jeżeli ta długość wszędzie jest jednakowa, to rurka jest dobra, a w przeciwnym razie, jako nieprzydatną, odrzucamy i wybieramy inną.

Merkuryusz do ciepłomierza użyty, powinien być zupełnie czysty. Bo trzeba wiedzieć, że jak w wodzie rozpuszczają się: sól, cukier i t. d. tak również i w merkuryuszu są rozpuszczone rozmaite ciała. Chcąc od nich uwolnić merkuryusz, trzeba go ogrzewać w jakiem naczyniu dotąd, aż zacznie zmieniać się w parę merkuryuszową; jeżeli tę parę zbierzemy w osobne naczynie i na powrót oziębimy, to otrzymamy merkuryusz zupełnie czysty.

Jak się merkuryusz wlewa do rurki?

Ponieważ rurka jest zwykle bardzo cienka, i do tego zawsze napełniona powietrzem, więc nie można w nią zwyczajnym sposobem nalać merkuryuszu. Chcąc jednak to uskutecznić, przedewszystkiem dosyć mocno ogrzewamy rurkę, skutkiem czego zawarte w niéj powietrze powiększywszy objętość swoję, wychodzi na zewnątrz; jeżeli teraz otworem zanurzymy rurkę w merkuryuszu, to ten ostatni, pchany całym ciężarem powietrza (1) zewnętrznego, sam wejdzie w rurkę i napełni

(1) Że powietrze jest cięzkie, wiadomo wam z artykułu: *Wiadomości z fizyki*, umieszczonego w Nrze 44 Czytelni Niedzielnéj z roku 1856.

takową. Żeby zupełnie nic powietrza w rurce nie było (a co jest koniecznem), ogrzewamy ją po napełnieniu raz jeszcze, to naprzód wyjdzie z niéj reszta powietrza, a potem pocznie wychodzić para merkuryuszowa, co gdy nastąpi, otwarty koniec szczelnie lutujemy, i przystępujemy do robienia podziałki.

Jak się robi podziałka?

Napełnioną merkuryuszem rurkę wkładamy naprzód w lód lub śnieg topniejący, wtedy merkuryusz w niéj zawarty pocznie się skurczać i na dół w rurce opadać. Punkt, do którego opadnie, naznaczamy na rurce kreseczką, przy któréj piszemy 0 (*zero*); następnie wyjmujemy ztąd rurkę, a wkładamy we wrzącą, czyli gotującą się wodę. Wtedy merkuryusz pocznie szybko podnosić się w górę i punkt, do którego teraz dojdzie, znowu na rurce kreską oznaczamy, a przy niéj piszemy 80, albo 100. Potem przestrzeń zawartą pomiędzy temi dwoma puktami, które zowią się się punktami *stałemi*, dzielimy na 80 równych części, jeżeli u góry rurki jest liczba 80, albo na 100 części, jeżeli ugóry jest 100. Nakoniec bierzemy jednę taką cząstkę w cyrkiel i odcinamy pod zerem 30 do 35 razy, a napisawszy przy tych cząsteczkach kolejne liczby: 1, 2, 3.... aż do 80, lub 100 nad zerem, i 1, 2, 3..30, albo 35 pod zerem, będziemy mieli skończony termometr.

Jeżeli przestrzeń między dwoma punktami *stałemi* podzielona jest na 80 równych części, to ciepłomierz nazywa się Reaumura (Reomiura), i takiego właśnie u nas się używa. Gdy zaś między temiż punktami jest 100 stopni, to ciepłomierz zowie się *Stustopniowym*, albo Celcyusza, jakiego używają we Francyi.

Gdzie zimno bywa większe niż 35 , tam i merkuryuszu do ciepłomierza używać nie można; i tam też miejsce jego zastępuje zafarbowany spirytus, który jeszcze większego zimna do zamarznięcia potrzebuje. Samo z siebie wynika, że opisanego ciepłomierza używać nie można tam, gdzie ciepło jest tak wielkie, iż od niego szkło topićby się mogło — tam używają zupełnie innych termometrów, *pyrometrami*, czyli *ogniomierzami* nazywających się. To zdarza się wtedy, gdy chcemy wiedzieć, ile ma stopni gorąca roztopione jakie ciało, np. żelazo, złoto i t. d., lub ile jest ciepła w piecach piekarskich?

Profesor i Uczeń.

—

Kiedy Jan Sobieski był uczniem w Akademii Krakowskiéj, profesorowi Dąbrowskiemu spadł z głowy *biret*. Młody Sobieski poskoczył i z uszanowaniem go sędziwemu nauczycielowi podał; profesor spojrzał na dorodnego młodzieńca, a ujęty jego grzecznością i tak chętną posługą, pogłaskał go po głowie i wyrzekł: „Doczekam tego, że ujrzę koronę na twojéj głowie“.

Były to słowa prorocze.

W kilkadziesiąt lat późniéj, Jan Sobieski Hetman, wsławiony świetném zwycięztwem, nad Turkami pod Chocimem odniesioném, wybrany królem polskim i Wielkim Księciem Litewskim, wjeżdżał do dawnéj stolicy, Krakowa. Ogromny i sławny dzwon Zygmuntowski z wieży katedry na Wawelu górował nad dzwonami wszystkiemi miasta. Lud gromadnie wybiegł, pod chorągwiami cechów swoich stanęli rzemieślnicy i obywatele Krakowa. Szlachta konno, strojno przy szablach, rycerstwo w wspaniałych zbrojach na dzielnych rumakach, a wszyscy, jakby jeden człowiek wznosili serdeczny radosny okrzyk na powitanie króla bohatyra. Na jednéj stronie rynku stali profesorowie przesławnéj Akademii Krakowskiéj z Rektorem swoim na czele.

Jan Sobieski, z uczuciem nieopisanéj radości wjeżdżał w mury tego starożytnego grodu, gdzie wiele lat spędził młodych na nauce, a teraz patrzył na lud ukorzony, co mu hołd pokłonem swych chorągwi oddawał; na duchowieństwo, co go błogosławiło, na szlachtę i rycerstwo, co ogromnym okrzykiem witało swego niedawno *pana-brata*, a dziś króla wielkiego i potężnego państwa.

Gdy wjechał na rynek krakowski wśród odgłosu dzwonów, dymu kadzideł, huku dział, i głuszących to wszystko wiwatów ludu, ujrzał grono profesorów Akademii. Wdzięczny uczeń téj przesławnéj szkoły, zwrócił w tę stronę konia. I w tym samym orszaku dopatrzył profesora Dąbrowskiego, już pochylonego zgrzybiałym wiekiem, co wyrzekł owe prorocze słowa, a teraz stał wsparty na kiju, i ze łzami zdala krzyżem świętym błogosławił Jana Sobieskiego. Król zdjął czapkę z uszanowaniem, a pochylając się z konia, podał rozrzewniony rękę Dąbrowskiemu. Starzec jakby odmłodniał, rzucił kij, na którym się wspierał, a pochwyciwszy rę-

kę ucznia-bohatyra, głośnym zapłakał płaczem, okrywając dłoń Jana Sobieskiego pocałunkiem i łzami.

Ten dowód hołdu i miłości poruszył do głębi króla, słowa wyrzec niemógł, pochylił się więcéj z konia, chciał ukryć łzy własne, ale widzieli je wszyscy, patrząc z rozrzewnieniem na powitanie ucznia-króla ze swym profesorem.

Poczém zwrócił zwolna konia, i wielce wzruszony wjechał na stary zamek Wawelski.

Zawiadomienie.

W Przytułku S. Wincentego a Paulo, przy ulicy Chmielnej, gdzie wychowują się córki rzemieślników, sług i wyrobników warszawskich, na istoty użyteczne społeczeństwu, odbył się w miejscowéj Szkółce d. 12 *Maja r. b. doroczny examin, z nauki Religii, czytania, pisania i rachunków.*

Obok powyższych nauk wychowanki Przytułku okazywały ręczne kobiece roboty, w których należyte kształcenie dziatek jest jednym z ważniejszych przedmiotów miejscowego nadzoru. Poczem przystąpiono do rozdania wychowankom odznaczającym się pilnością i dobrem prowadzeniem, nagród, tak w książkach, jak i listach pochwalnych.

Pierwszą *nagrodę w książce otrzymała Barbara* Kamińska, *córka stróża, utrzymywana w przytułku kosztem JW. Maryi z Książąt Sapiehów hrabiny Potockiéj*—drugą *Julja* Bojarska, *córka b. Wójta gminy w* Kamieniu, *utrzymywana kosztem Zakładu, z funduszu stałych pięcio-kopiejkowych miesięcznych składek, wylosowana d.* 2 *maja* 1856 r.

W LISTACH POCHWALNYCH.

1. *Józefa* Wiśniewska, *córka po zmarłym ogrodniku, utrzymywana kosztem składek niestałych.*

2. *Antonina* Osińska, *córka gospodarza rolnego z miasta* Łukowa, *sierota, utrzymywana na koszcie JW. hr. Aleksandry Potockiéj, Prezydującéj w Zarządzie Przytułku.*

3. *Marcyanna* Latuszewska, *córka stróża, sierota bez matki i ojca, na koszcie składek jednorazowych i niestałych.*

4. *Dominika* Orłowska, *córka po zmarłym wyrobniku, na koszcie JW. Aleksandry hr. Potockiéj.*

Skrzypczyńska, *córka po zmarłym stangrecie, utrzymywana kosztem składek stałych pięcio-kopiejkowych.*

Wkońcu zwiedzono cały zakład, szwalnię, kuchnię, w których wychowanki dla wdrożenia się do zatrudnień, stanowić mających ich los przyszły, zajmują się same gotowaniem i szyciem.

Oznajmia się więc, iż dla tego samego celu w Przytułku Śgo Wincentego, za bardzo małem wynagrodzeniem, przyjmuje się odtąd do szycia grubsza bielizna, bluzy i inne tym podobne roboty.

Zakład powyższy, dla dziewic uboższych rodzin przeznaczony, w rozwinięciu swojem ma na celu przygotowanie umieszczonych w nim wychowanek do praktycznego zawodu użytecznych gospodyń, mianowicie wiejskich, zdolnych do zarządu domem, pracowitych żon rzemieślników, przyuczonych pracownic w przędzalni rozwijającego się u nas jedwabnictwa i t. p.

Dlatego to wychowujące się w Przytułku dziewczęta, o ile miejscowość dozwala, zajmują się wszystkiemi szczegółami gospodarstwa domowego, wedle wyboru zatrudnienia, który się im zostawia, ze stosownym podziałem pomiędzy nie pracy, np. jednym oddaje się czystość i schludność wewnętrzną mieszkania, drugim posługę w kuchni, innym w pralni; tamtym znowu zostawia się pościel, a ich towarzyszkom usługę przy stole i t. p. Wydziały te powierzają się nadzorowi starszych wychowanek, i tych mianowicie zpomiędzy nich, które się pojętnością i wzorowem postępowaniem odznaczają. Osoby do miejscowego zwierzchnictwa przeznaczone dawać mają w swej kolei oko na to, aby jednych i drugich obowiązki ściśle wykonywane były. Tak urządzone i podzielone zatrudnienia, pod bezpośrednią kontrollą samych wychowanek, a okiem nadzoru miejscowego, przy swéj rozmaitości, i budzeniu szlachetnego między niemi współzawodnictwa w pracy, uczynić ją są zdolne i miłą zabawką i pożyteczną działalnością.

Wychowanie tych młodych pracownic i gospodyń może się stać miłém Bogu, a z czasem użytecznem społeczeństwu; byleby tylko ten Ojciec najdobrotliwszy sierot i ubóstwa, nie odmawiał swéj łaski, a dobrzy ludzie serca i współdziałania.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 15 (27) maja 1857 r. — Starszy cenzor, F. Sobieszczański.